

## O maccartyzmie nie tylko w Ameryce

*Najwyższy Czas! nr 26/1992*

(wersja bez znaków diakrytycznych – przepraszam!)

Historia nigdy się nie powtarza, a jednak pozwala nie gubić się w teraźniejszości. Na przykład, losy dekomunizacji administracji amerykańskiej w latach pięćdziesiątych pozwalały dotąd całkiem niezłe przewidywać przebieg staran o dekomunizację w Polsce, zwłaszcza gdy wreszcie stała się sprawa pozbycia się agentów komunistycznych z władz państwowych. Nie przeszkadzał temu fakt, iż zupełnie inna dekomunizacja potrzebna była w USA kilkadziesiąt lat temu, zupełnie natomiast inna potrzebna jest nadal w Polsce. Nie przeszkadzało też ani to, że naród amerykański nigdy nie został sterroryzowany przez komunistyczną policję polityczną ani to, że amerykańskim "intelektualistom" dane było flirtować z komunizmem, ale nie dane im było z nim walczyć. Podobienstwo bowiem tkwi w zachowaniach przeciwników dekomunizacji - tych sprzed lat w USA i tych z Polski dzisiaj.

Lata trzydzieste w Stanach Zjednoczonych słusznie nazywa się niekiedy r'ozowa dekada. Po dwóch - trzech pierwszych latach rządów prezydenta Franklina D. Roosevelta stało się jasne, że Stany Zjednoczone wkroczyły na drogę swego rodzaju rewolucji ekonomicznej. Proklamowany przez Roosevelta "nowy ład" nie był pomysłany jako doraźna odpowiedź na wielki kryzys przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, ale miał zapowiadać trwałą rezygnację z wolnego rynku i rządów o możliwie ograniczonych kompetencjach na rzecz państwa opiekuńczego, z rządem sprawującym bezwzględna kontrolę nie tylko nad sprawami bezpieczeństwa, prawa i porządku, lecz, może przede wszystkim, także nad ekonomią. Rychło oczywiste stały się prokolektywistyczne sympatie prezydenta. W jego otoczeniu pojawili się byli(?) socjaliści i kryptokomuniści. (Niech za przykład wystarczy tu zaufany doradca Roosevelta, Sidney Hillman, który przybył do USA z Rosji w roku 1911 jako mienszewik, natychmiast po przybyciu wstąpił do amerykańskiej Partii Socjalistycznej i wkrótce stanął na czele związku zawodowego pracowników przemysłu odzieżowego.)

Sytuacja skomplikowała się jeszcze, gdy w połowie lat trzydziestych Stalin zorientował się, że może wykorzystać głupotę i naiwność elit inteligentnych Zachodu, i nakazał pryncypialną wrogość wobec "imperialistycznego Zachodu" zastąpić swoiście pojętą przyjaznią wobec "zachodnich demokracji". W przypadku Stanów Zjednoczonych oznaczało to wyrosnięcie jak grzyby po deszczu tak zwanych "organizacji frontowych", czyli stowarzyszeń popierających cokolwiek, równouprawnienie kobiet czy Murzynów, ruch antywojenny czy antyfaszystowski, byleby szlachetnych z nazwy i dowodzonych przez tajnych członków lub sympatyków partii komunistycznej. Organizacje frontowe służyły popularyzowaniu "postępowych"

idei na uczelniach i, w konsekwencji, ułatwiały przenikanie wpływów komunistycznych do niektórych kregów społeczeństwa amerykańskiego, zwłaszcza do ruchu związkowego oraz środowisk uniwersyteckich, twórczych i dziennikarskich. Z czasem, ludzie o sympatiach prosowieckich znaleźli się we wpływowych kregach politycznych, lub wręcz w administracji państwowej. Oczywiście, naiwność sympatyków kolektywizmu sprzyjała przekazywaniu przez nich tajemnic państwowych sowieckim szpiegom sensu stricto. (Najsłynniejszym szpiegiem z lat trzydziestych był, zatrudniony wówczas w Departamencie Rolnictwa, Alger Hiss, o którym wypadnie nam jeszcze wspomnieć nieco dalej; tu nadmienimy jedynie, że w czasie drugiej wojny światowej i bezpośrednio po niej był pracownikiem Departamentu Stanu, w tym doradcą Roosevelta w Jalcie.)

Wpływy komunistów i ich sympatyków w kołach rządowych USA nie skończyły się wraz ze śmiercią Roosevelta w roku 1945. Dobrym przykładem takiej infiltracji jest rola jaka w dobie wojny domowej w Chinach odegrał Owen Lattimore, powszechnie szanowany amerykański dyplomata, polityczny znawca Dalekiego Wschodu i wieloletni dyrektor wpływowego Instytutu do spraw Pacyfiku (Institute for Pacific Relations). Lattimore, pospolu z innymi wielbicielami postępu, prowadził w Stanach Zjednoczonych konsekwentną akcję dezinformacyjną, zohydżającą reżim Czang Kai-szeka i przedstawiającą w jak najlepszym świetle walkę i ideologię Mao Tse-tunga. Skutkiem tej akcji było praktyczne cofnięcie amerykańskiej pomocy wojskowej dla Czang Kai-szeka i jego przegrana w roku 1949.

Co ciekawe, wpływy "postepowców" w kołach rządowych USA okazały się także za prezydentury Trumana wystarczająco silne, by skutecznie przeciwstawić się stosowaniu prawnie obowiązującej weryfikacji pracowników administracji państwowej. Weryfikacja miała uniemożliwić zatrudnianie ludzi niepozadanych ze względu na bezpieczeństwo państwa i nie miała nic wspólnego z oskarżaniem kogokolwiek o cokolwiek, a jedynie miała orzeczyć czy przeszłość danej osoby, jej poglądy i zwyczaje gwarantują pełną lojalność wobec państwa oraz zdolność zachowania przez nią tajemnic państwowej. Łatwiej było jednak wytoczyć proces jedenastu przywódców Partii Komunistycznej USA, niżli wyrzucić z posady rządowej jakiegoś kryptokomunistę - proces taki miał miejsce w roku 1949, jednym ze świadków obrony był zaś niejaki Doxey Wilkerson, pracownik rządowy, którego usunięcie Federalne Biuro Śledcze sugerowało już w roku 1942. Także sprawa szpiegowskiej działalności Alberta Hissa nie została nigdy zbadana przez wyznaczone do tego agendy rządu USA. O działalności Hissa donosił wysokiemu urzędnikowi administracji Whittaker Chambers, wówczas już ucziwy Amerykanin, ale kiedyś komunista i członek sowieckiej sieci szpiegowskiej, który zresztą sam wciągnął Hissa do brudnej roboty. Dopiero gdy okazało się, że informacja Chambersa nie odniosła żadnego skutku, ten przedstawił całą sprawę kongresowej Komisji do spraw Działalności Antyamerykańskiej. I sprawie tej ukreciliby głowy również

dystyngowani parlamentarzyści amerykańscy, gdyby nie upor jednego jedyne go członka Komisji - wówczas jeszcze bardzo młodego polityka republikan skiego, ale w przyszłości prezydenta - Richarda Nixona. Bo i ktoż dalby wiare jakiemus nieznanemu, niesympatycznemu abnegatowi, do tego byle mu szpiegowi, jakim był Chambers, nie zaś powszechnie znanemu, eleganckiemu i kulturalnemu Hissowi? W istocie, sprawa mogł zainteresować się tylko ktoś spoza starego waszyngton skiego towarzystwa, i tylko on mogł sprawić, by Hiss nie umknął sprawiedliwości.

Ow schemat - walki oświeconych i kulturalnych przeciw niesympatycznemu prostakowi - wkrótce się powtórzył. Zaalarmowany powyższymi i podobnymi faktami senator Joseph R. McCarthy ogłosił w 1950 roku, że posiada listę pracowników Departamentu Stanu, mających powiązania z komunistami. Młody, prowincjonalny senator najprawdopodobniej od razu popełnił błąd, mianowicie w swych wielu wystąpieniach publicznych wymieniał różne liczby nazwisk rzekomo znajdujących się na liście. W każdym razie, gdy McCarthy przedstawił w końcu swoją listę Senatowi Stanów Zjednoczonych - lista zawierała wówczas 48 nazwisk byłych pracowników i 62 nazwiska aktualnych pracowników Departamentu Stanu - wyrok w całej sprawie już był gotowy. Komisja, która została wyznaczona do zbadania sprawy, w większości - tak jak i Senat - składająca się z demokratów, praktycznie nie wypełniła zadania zbadania zasadności zarzutów stawianych przez McCarthy'ego dwóm ostatnim - też demokratycznym - administracjom. Przesłuchania takich "znakomitych" członków establishmentu waszyngtonskiego jak wspomniany już Owen Lattimore stawały się faktycznie przesłuchaniami McCarthy'ego, mimo ewidentnie prokomunistycznej działalności tego pierwszego. Watpliwości nieodmiennie działały na korzyść osoby, której powiązania z komunistami miały być badane, tak jakby chodziło o proces karny a nie o ustalenie czy zatrudnienie danej osoby nie stanowi ryzyka z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Na przykład, zarzut McCarthy'ego został uznany za bezzasadny w przypadku osoby, która wspierała finansowo niemal wszystkie organizacje uznane przez CIA za "frontowe", gdy ta oświadczyła, iż nie zdawała sobie sprawy z prawdziwego charakteru owych organizacji.

Co przy tym interesujące, McCarthy początkowo nie był zwolennikiem uczynienia przesłuchan przed komisją senacką publicznymi, został zaś do tego namówiony przez jej przewodniczącą. Oczywiście, to jemu przypisano natychmiast chęć moralnego zniszczenia osób badanych. W każdym zaś razie, komisja oczyszczała z zarzutów wszystkich badanych. Inna sprawa, że pierwsza porażka McCarthy'ego wcale go nie zniechęciła do kontynuowania swojej walki, najprawdopodobniej dlatego, że jego akcja zyskała poparcie społeczne. Społeczeństwo wykazało się zdrowym instynktem - było zbulwersowane procesami Hissa oraz przywódców partii komunistycznej, i słusznie nie wierzyło, że Sowieci mogli wyprodukować bombę atomową (w roku 1949) bez pomocy komunistycznej sieci szpiegowskiej w Stanach Zjednoczonych. Słowem, społeczeństwo opowiadało się bezwarunkowo

przeciwko wszelkiej infiltracji komunistycznej i za bezwzględnie ścisłą ochroną interesu państwa. W przeciwieństwie do dużej części elit opiniotwórczych, nie było natomiast skore złapać się na postępowe frazesy komunistów i socjalistów.

Niestety, w sytuacji gdy establishment Partii Demokratycznej i, nade wszystko, "intelektualisci" opowiedzieli się przeciwko idei oczyszczenia administracji z wpływów komunistycznych i rozpoczęli natychmiast walkę z McCarthym, całe przedsięwzięcie musiało ulec swoistej degeneracji. Po pierwsze, nie było szans na rozsądne - i w pełni skuteczne - przeprowadzenie skądinąd potrzebnej "dekomunizacji". Po drugie, było jasne, że w powstałej sytuacji stanowisko McCarthy'ego będzie się szybko radykalizować, że z czasem zamiast racji pojawi się fanatyzm, natomiast rzetelne i stosunkowo nieliczne śledztwa zostaną zastąpione przez prowadzone na dużą skalę polowania na czarownice. A o to chodziło przeciwnikom McCarthy'ego przede wszystkim. Od początku debaty nad prawdziwym problemem infiltracji komunistycznej zastąpili przyprawianiem geby McCarthy'emu, choć w czasie pierwszych przesłuchań zabieg ten mógł się jeszcze wydawać naciągany, bo przecież to kim był i jaki był pan McCarthy nie miało z właściwą sprawą żadnego związku. Gdy jednak ataki McCarthy'ego i jego zwolenników zaczęły być mniej przemyślane a bardziej nerwowe, problemem zaczął być sam maccartyzm, a nie to co było jego prawdziwą przyczyną. W końcu, w roku 1954 McCarthy został potępiony przez Senat Stanów Zjednoczonych i niecałe trzy lata potem zmarł jako alkoholik. Przy okazji, amerykańscy postępowcy upiekli po cichu jeszcze jedną pieczen - prawie zupełnie, na długie lata wyeliminowali konserwatystów z uniwersytetów i rodzimej literatury (tych pierwszych wystarczyło wyrzucić, tych drugich nigdy nie recenzować i, najlepiej, w ogóle nie wydawać).

W Polsce końca roku 1991, minister Macierewicz - nie znoszony przez tzw. lewicę laicką - od początku nie miał żadnych szans. Gdy rozpoczął "akcję lustracyjną", on i jego koledzy ogłoszeni zostali chorymi psychicznie. Wściekłość i histeria, z jaką na akcję zareagowali "intelektualisci", pokazały dowodnie, że nie o rzetelność jej przeprowadzenia im chodzi. Zarazem, jak na nieodrodne dzieci Jana Jakuba Rousseau i postoswieceniowego relatywizmu przystało, jeszcze raz myślenie w kategoriach bezpieczeństwa ojczyzny jako dobra wspólnego zastąpili bredzeniem o prawach człowieka i obywatela.

15 czerwca 1992